CZAS ZIELONEJ GÓRY

bezpłatny informator miejski ISSN: 3072-2128 nr 21 (50) 24 czerwca 2026

DZIĘKUJEMY, MISTRZOWIE!

s. 8

Conley Garrison to autor najbardziej spektakularnego rzutu w finałowej serii z Legią Warszawa. Amerykanin trafił trójkę na wagę zwycięstwa Orlenu Zastalu w szóstym meczu, niemal równo z syreną. W decydującym, siódmym spotkaniu w Warszawie lepsza była Legia (78:70), ale wicemistrzostwo to wielki sukces naszych koszykarzy! FOT. WŁADYSŁAW CZULAK

HISTORIA JEDNEGO REMONTU

FOT. BARTOSZ MIROSŁAWSKI

W miniony piątek wykonawca położył warstwę ścieralną na ul. Zacisze. Tym samym wielomiesięczny remont dobiega szczęśliwego końca. Dlaczego trwał tak długo, co opóźniło prace? O to zapytaliśmy firmę Bud-Dróg. **s. 3**

ŻEGNAMY SIĘ Z AMFITEATREM

FOT. SZYMON PŁÓCIENNIK

Każdy, kto w niedzielę przyszedł do amfiteatru, mógł przespacerować się po widowni, usiąść na ławce, zatańczyć na scenie. - Przyszłyśmy z sentymentu, ze względu na stare czasy - przyznały panie Aneta, Żaneta i Marta. **s. 4**

ODCHODZI SŁYNNY ZAKAŹNIK

FOT. WŁADYSŁAW CZULAK

Jacek Smykał przez 30 lat kierował oddziałem zakaźnym w szpitalu wojewódzkim i uniwersyteckim. - Ludzie zaczepiają mnie na ulicy i pytają, czy pamiętam, że ich leczyłem. Większość pamiętam - opowiada. **s. 5**

CZARNOBYL I LOS ANGELES

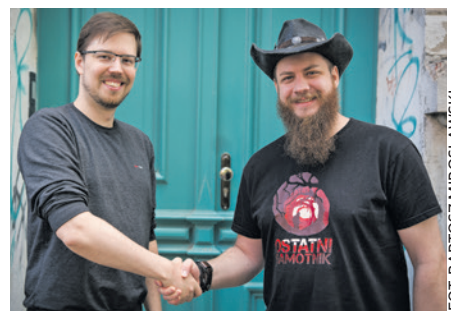

FOT. BARTOSZ MIROSŁAWSKI

Zielona Góra nie kojarzy się z przemysłem filmowym. A jednak właśnie stąd pochodzi Green Mountain Pictures - wytwórnia, której filmy ogląda się w Japonii, Niemczech i na Amazon Prime Video. Znacie „Drogę donikąd"? **s. 6**

FELIETON

Artur Łukasiewicz

Piekielna burza w amfiteatrze

Mój ostatni rzut oka na amfiteatr. Wkrótce wjadą koparki i spychacze, ruszy przebudowa, po której nie poznamy obiektu na Wzgórzach Piastowskich. Od czego się to wszystko zaczęło? Od gwałtownej burzy, w powietrzu latały nuty, dyrygent uciekał w panice.

Siedzę na zdezelowanej ławce na szczycie widowni. Wokół kręcą się Zielonogórzanie, pstrykają sobie pamiątkowe zdjęcia. Opowiadają o najlepszych koncertach. Próbuję sobie przypomnieć ten mój pierwszy raz w amfiteatrze.

Jak to się zaczęło i dlaczego tak się kończy? Co przyniesie przyszłość? Innym się udało. Nowymi amfiteatrami chwalą się Szczecin i Koszalin. Opolski obiekt też już po przebudowie. Czas więc na zielonogórski.

Skoro to ostatni widok na amfiteatr jaki znamy - i nieważne, że w ostatnich latach przypominał ruinę - budzą się wspomnienia. Pierwsze pochodzą z podstawówki. Nasza „dwunastka" przy ul. Piastowskiej czerpała z powodu amfiteatru pewne profity. Bywało, że szybciej mieliśmy wakacje, w szkole kwaterowali bowiem uczestnicy festiwalu dziecięcego „Barwy Przyjaźni", poprzedzającego danie główne - transmitowany w telewizji Festiwal Piosenki Radzieckiej.

Czasem nauczycielka od muzyki nas ciągnęła na koncerty. Starała się, byśmy znali „Pust wsiegda budiet sonce", „Katiuszę", czy „Podmoskownyje wieczera". Muzycznego talentu w nas nie było za dużo, ale nauczyliśmy się też trochę czytać nuty, więc coś dobrego z tej edukacji wynikało.

Dorosły „radziecki" festiwal, już starsi, omijaliśmy łukiem, propagandowy obciach i tyle, tak uważaliśmy. Nasze serca biły dla rocka i Jarocina.

Dziś sądzę, że historia amfiteatru była bardziej kręta niż tamtemu nastolatkowi się wydawało. Gerard Nowak, nieżyjący już reżyser koncertów festiwalowych, opowiadał mi, że tam biły się złe duchy z dobrymi, tandeta z wirtuozerią. I sypał przykładami. W debiucie amfiteatru górę wzięły jednak czarty.

Był rok 1973. Amfiteatr budowano w ekspresowym tempie. W pół roku położono 1250 płyt oporowych, wylano 200 ton betonu, ustawiono 1780 podestów ławek i 11 tysięcy płyt chodnikowych - wyliczał peerelowski partyjny dziennik. Widownia liczyła 4,5 tys. miejsc.

Amfiteatr zabrzmiał 13 czerwca. Właściwie zaryczał, ale z nieba, nie ze sceny, na której ustawiono w ramach scenografii dziesiątki rur jak z parowca. - Wyszedł zespół Monastyr z Ciechanowa. W błyszczących piżamowych strojach wyglądał blado i niescenicznie. Ale śpiewali piękne cerkiewne pieśni. Nagle zaczęły im latać szerokie nogawki, potem dmuchnęło - opowiadał Nowak. Chwilę później nad wzgórzem rozpętała się burza. Lunął deszcz. W jednej chwili rury runęły na scenę, wokalistki zaczęły wiać w popłochu. Do ucieczki rzucił się szef orkiestry Henryk Debich. Konferansjer, aktor Janusz Zakrzeński, przycupnął przy przewróconym, największym kominie. Wkrótce na scenie stała samotnie Maria Wróblewska. - Jedyna odważna, zaczęła wołać „gdzie są mężczyźni" - śmiał się Nowak. Koncert przerwano, następnego dnia pogoda już dopisała.

Za dwa lata zobaczymy nowy amfiteatr. Jaki będzie pierwszy koncert? Na pewno żadna burza go nie zakłóci. Nad widzami zobaczymy dach, a nie pioruny.

CZAS NA PRZYRODĘ

SZELMA, CHOĆ TAKI SŁODZIAK

Szop pracz wydaje się sympatyczny, ale należy do inwazyjnych gatunków obcych. W nasze strony dostał się przez zieloną granicę z Niemiec. Roznosi choroby, wyjada jaja ptaków, wchodzi do naszych domów.

- Może podnieść dachówkę i wejść do środka. W Niemczech zrobiła się afera, bo komuś splądrował kuchnię i wypił piwo... - żartował Leszek Jerzak, profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Problem jest jednak najzupełniej poważny. Na terenie dawnego województwa zielonogórskiego ledwie cztery lata temu myśliwi eliminowali 920 inwazyjnych zwierzaków, rok później już 2,5 tys., następnie 4,5 tys., aż w minionym roku doszli do 7 tys. sztuk. Dużo?

- W landach Brandenburgii i Saksonii niemieckie służby w każdy dozwolony prawnie sposób eliminują rocznie 50-55 tys. szopów. Oto, przed jakim wyzwaniem stoimy - uświadamia Jacek Banaszek, łowczy okręgowy PZŁ w Zielonej Górze.

Zabójca z niezłym PR

- Niby sympatyczny, ale trzeba sobie powiedzieć, że jest niebezpieczny i sprytny, na nasze choroby odporny, a przynosi obce patogeny - prof. Jerzak charakteryzuje szopa pracza.

Kiedyś jego ciepły wizerunek tworzył m. in. kultowy serial „Domek na prerii". Dziś wcale nie jest inaczej.

- Przed świętami jeden z dyskontów miał kampanię, jak sympatyczny szop przynosi przez dach prezenty i wszyscy w domu się cieszą. Ilu ludzi obejrzy i zapamięta taką reklamę emitowaną kilka razy dziennie w porach najwyższej oglądalności, a do ilu dotrą nasze argumenty... - retorycznie pyta Banaszek. Jego zdaniem prawdziwe oblicze wszystkożernego drapieżnika wygląda inaczej.

Szop jest dziki, szop jest zły... zdaje się mówić obrazek z koszulki dr Agnieszki Opalińskiej, prowadzącej debatę o inwazyjnych gatunkach zwierząt i roślin. Sława T-shirtu wydostała się poza Palmiarnię i było o nim głośno także na konferencji w Urzędzie Marszałkowskim, poświęconej strategii walki z szopami w woj. lubuskim. FOT. BARTOSZ MIROSŁAWSKI

- Szopy nie mają w naszym otoczeniu naturalnych wrogów. Mają za to dostatek pożywienia i wysoką płenność. Są oportunistami, dostosowują się do czasu i miejsca. Pożerają jaja, pisklęta, ryby, skorupiaki, małże, płazy, gady, a jak tego wszystkiego nie ma, to są owoce i warzywa, zboża -wylicza.

Zielonogórski łowczy opowiada, że ludzie sami proszą myśliwych o odstrzał szopów. Kiedy zaś nie mogą doczekać się interwencji... (tu Banaszek pokazuje drastyczne zdjęcia): - Pozostawieni bez pomocy traktują szopy widłami, siekierami. Ani żadne zwierzę nie zasługuje na taki los, ani żaden człowiek nie powinien się znižać do takiego postępowania. Proszę uwierzyć, że nie mam żadnej satysfakcji, strzelając do szopów, zwłaszcza że są ich tysiące - zapewnia.

Bohater tygodnia

Drapieżnik zdominował w minionym tygodniu dwie konferencje w naszym mieście: „Flora i fauna bez granic. Jak inwazyjne gatunki zmieniają ekosystem?", zorganizowaną w Palmiarni przez Biuro Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Zielona Góra oraz Zrzeszenie Gmin Województwa Lubuskiego, a dwa dni później „Szop pracz - niechciany obcy" w siedzibie Urzędu Marszałkowskiego.

Wnioski? Lubuskie jako najbardziej zagrożone i pierwsze w Polsce przeznaczy 200 tys. zł na zwalczanie szopów. Tyle że gatunku już nie da się zlikwidować. Można jedynie próbować regulować jego populację, nie tylko strzelając. Niemcy realizują pilotażowy projekt ograniczenia plagi szopów z wykorzystaniem sztucznej inteligencji w połączeniu z chemiczną sterylizacją. Efektów nie potrafią jednak jeszcze określić.

A gdyby tak sięgnąć po mniej drastyczne metody, np. odławianie zwierząt i azyle? - Tak. Na pewno zmierzymy się z głosami ze sfery bambizacji. Dlatego warto wiedzieć, że złapanie i utrzymanie jednego szopa kosztuje 5-6 tysięcy złotych rocznie - twierdzi Banaszek. - Jeśli założymy np. 10 tysięcy sztuk w systemie klatkowym, pod nadzorem inspekcji weterynaryjnej, kastrowanych, sterylizowanych, z dostarczanym jedzeniem, bo tak mówi prawo, dodawszy, że może przeżyć 20 lat, to proszę sobie przemnożyć, jaka kwota wychodzi i powiedzieć, czy nas na to stać...

Andrzej Tomasik

CZAS NA LICZBĘ

3905

miejsc przygotował dla absolwentów szkół średnich Uniwersytet Zielonogórski. W nowym roku akademickim na studiach stacjonarnych miejsc jest 2735, a niestacjonarnych 1170. Rekrutacja internetowa trwa. Obowiązuje konkurs świadectw bez progów punktowych. Wyjątkiem są kierunki artystyczne i lekarski.

Czas Zielonej Góry - bezpłatny informator miejski
Redakcja: al. Niepodległości 10, 65-048 Zielona Góra
CzasZG@um.zielona-gora.pl
Redaktor naczelny: Artur Łukasiewicz
Redaktor prowadzący: Daria Śliwińska-Pawlak
Wydawca: Urząd Miasta Zielona Góra, ul. Podgórna 22, 65-213 Zielona Góra
Nakład: 50 tys.

CZAS NA NOWY DOM DLA ZWIERZAKÓW

FOT. SCHRONISKO W ZIELONEJ GÓRZE

GINGER

Czeka w schronisku
ul. Szwajcarska 4, tel. 577 466 576
schronisko@um.zielona-gora.pl

Spokojny i zdystansowany

Ginger ma około sześć lat i jest spokojnym, delikatnym psem. Znaleziony przy rondzie w Przylepie. Trafił do schroniska zadbany, ale nikt go nie szukał. Schroniskowy hałas, obecność wielu psów i ciągły ruch są dla niego źródłem stresu. Podczas spacerów udaje mu się nieco rozładować napięcie, ale spogląda na opiekuna, jakby upewniał się, że człowiek jest obok i może mu zaufać. Nie wykazuje agresji wobec innych psów. Jeśli czuje się niepewnie, woli odejść. Obecnie jest nieco wycofany i zdystansowany, jednak wierzymy, że w spokojnym otoczeniu i przy wsparciu człowieka otworzy się i pokaże prawdziwą naturę.

FOT. SCHRONISKO W ZIELONEJ GÓRZE

ZŁOTÓWKA

Czeka w schronisku
ul. Szwajcarska 4, tel. 577 466 576
schronisko@um.zielona-gora.pl

Pełna energii

Jeśli marzysz o kocie, przy którym nigdy nie będzie nudno - oto ona - Złotówka. Mała specjalistka od zwracania na siebie uwagi i zawodowa testerka wszystkiego, co da się turlać, gryźć albo zrzucić ze stołu. Ta młodziutka koteczka, gdy tylko zobaczy człowieka, od razu odpala repertuar: głośne miauczenie, wyciąganie łapek i spojrzenie wielkich zielonych oczu, któremu trudno się oprzeć. Złotówka uwielbia głaskanie i szybko włącza mruczący silniczek, ale spokojne leżenie trwa zwykle... 13 sekund. Potem przypomina sobie, że gdzieś jest piłeczka, papierek albo sznurek, które natychmiast wymagają jej uwagi. (md)

OFENSYWA DROGOWA

HISTORIA JEDNEGO REMONTU: UL. ZACISZE

W miniony piątek wykonawca położył warstwę ścieralną na ul. Zacisze. Tym samym wielomiesięczny remont dobiega szczęśliwego końca. Dlaczego trwał tak długo? O to zapytaliśmy wykonawcę.

Prace na ul. Zacisze przedłużyły się o kilka miesięcy. Poślizg mocno dał się we znaki kierowcom, którzy w Internecie nie zostawili suchej nitki na magistracie i wykonawcy.

- Staram się nie czytać tych wszystkich komentarzy, ale docierają do mnie głosy niezadowolenia mieszkańców i kierowców. Rozumiem je, bo sam od 17 lat jestem Zielonogórzaninem i zależy mi na tym, aby sprawnie poruszać się po mieście - wyjaśnia Marcin Kwapiszewski, właściciel firmy Bud-Dróg. I natychmiast dodaje: - Problem w tym, że krytycy nie mają wiedzy, z czym musieliśmy się zmierzyć. W branży pracuję od 25 lat, ale na żadnym placu budowy jeszcze nie spotkałem tylu „niespodzianek". Wiele kolizji z podziemnymi sieciami było znanych, mnóstwo kolejnych jednak nas zaskoczyło, nie były zinwentaryzowane na mapach.

- W branży pracuję od 25 lat, ale na żadnym placu budowy jeszcze nie spotkałem tylu „niespodzianek" - przyznaje Marcin Kwapiszewski z firmy Bud-Dróg FOT. BARTOSZ MIROSŁAWSKI

Węgiel na budowie

Kwapiszewski podkreśla, że ulica Zacisze jest zlokalizowana na trudnym terenie pokopalnianym. I aby nie być gołosłownym, jako dowód w sprawie pokazuje węgiel, który pracownicy firmy Bud-Dróg i podwykonawcy znaleźli w wielkim wykopie pod budowę kolektora kanalizacji deszczowej.

Kłopoty na budowie zaczęły się od montażu wielkich rur o średnicy 1200 milimetrów. Miał je tylko jeden producent, a na dostawę trzeba było czekać kilka tygodni, co praktycznie sparaliżowało prace. Ośmiometrowe rury, technicznie można było położyć tylko w kawałkach, bo co kilka metrów sytuację komplikowała kolizja z którąś z sieci np. gazową czy elektryczną. - Taki jeden spaw jednej rury trwał osiem godzin. I nic dziwnego, że mieszkańcy zastanawiali się potem, gdzie się podziali moi pracownicy na budowie. A oni zacięcie spawali w pięciometrowym wykopie. To nie jest tak, że w tym czasie kilka godzin jedli śniadanie, jako szef bym przecież do tego nie dopuścił - podkreśla nieco sarkastycznie Kwapiszewski.

Do wykopów niezbędne było bardzo specjalistyczne zabezpieczenie. - Najpierw trzeba było przygotować wykop pod ogromne pięciometrowe szalunki. Wówczas na przeszkodzie stawała kolizja i musieliśmy zmienić przebieg rury, przeprowadzając spawy robocze. I ten szalunek wtedy znajdował się w kolizji z kolizją. Brzmi jak masło maślane, ale oddaje charakter tych skomplikowanych technicznie prac - szczegółowo wyjaśnia szef firmy Bud-Dróg.

Sroga zima...

Próbując odpowiedzieć na pytanie, dlaczego drogowcy tak późno zeszli z budowy, nie zapominajmy, że miniona zima była sroga. - Od chyba 13 lat nie zdarzyło się, żeby zimowy przestój trwał dwa i pół miesiąca. Przy zamarzniętej ziemi nie sposób zrealizować inwestycji w wykopach. Zresztą, moim ludziom należą się godne warunki pracy. Żaden przedsiębiorca nie może pozwolić sobie na celowe przestoje w pracy, bo traci na tym pieniądze. A szybciej wykonana robota oznacza kolejne kontrakty. Błędy to kosztowne poprawki w okresie gwarancyjnym. Dokładamy wszelkich starań, aby szybko i starannie wykonać zadanie - prezentuje firmową dewizę Kwapiszewski.

Ostatnią przeszkodą okazała się niepozorna studnia umiejscowiona latami w pasie zieleni. Po zmianie geometrii jezdni, trzeba było ją otworzyć. Szybko okazało się, że spód konstrukcji w żadnym wypadku nie przystaje do zmian. W ruch poszły znowu szalunki, zbrojenia i wylewki.

Dobre wieści, już można ogłosić koniec remontu. Gotowa jest nowa nawierzchnia, chodniki i ścieżka rowerowa, ułatwiony dojazd do marketów. Pozostały prace kosmetyczne związane z oznakowaniem poziomym i zielenią. Kierowcy muszą jednak znów uzbroić się w cierpliwość. Od poniedziałku w związku z budową Trasy Aglomeracyjnej obowiązuje całkowite zamknięcie ul. Zacisze na odcinku od Ronda im. Haliny Lubicz do zjazdu na wysokości sklepu Biedronka.

Rafał Krzymiński

CZAS NA ROWER

Przed nami ostatnia prosta

Wchodzimy w decydującą fazę walki o Rowerową Stolicę Polski. Zobaczcie rozkład jazdy do końca czerwca. Będzie się działo na ostatniej prostej!

Przekroczyliśmy już 460 tys. km! (wszystkie dane liczbowe - stan z minionego poniedziałku). Dla porównania: to o 30 tys. km więcej niż wykręciliśmy przez cały zeszłoroczny czerwiec! Mamy obecnie 3,5 tys. km straty do Gorzowa. Choć w oficjalnej punktacji (przeliczanej na mieszkańców) ciężko będzie ich dogonić, możemy przegonić ich kilometrowo.

Podajemy rozkład jazdy na końcówkę rywalizacji.

• 25 czerwca (czwartek): Zielonogórski Czwartek Kolarski Szlakiem Lokalnych Zabytków i Winnic. Start 17.15, WOSiR Drzonków. Organizuje LKS TRASA Zielona Góra.

• 27 czerwca (sobota): Zabór kręci dla Zielonej Góry / Rajd rowerowy MTB. Start 12.15, boisko sportowe w Zaborze. Uwaga! Na rajd do Zaboru jedzie grupa z Zielonej Góry. Start o 11.00 spod hali CRS. Organizuje stowarzyszenie Velo Grono.

• 28 czerwca (niedziela): Ustawka szosowa Yoloride. Start 9.00, Ogród Botaniczny. W planach ok. 80 km. Organizuje stowarzyszenie Yolobike.

• 28 czerwca (niedziela): Kołowanie MTB na WP Single Track. Start 10.00, parking przy Amfiteatrze. Organizuje grupa MTB Zielona Góra.

• 29 czerwca (poniedziałek): Tour de ZGora '50 - Rajd wokół Zielonej Góry. Start 17.00 spod hali CRS.

Oddolna inicjatywa naszej lokalnej koordynatorki Katarzyny Fedro.

• 30 czerwca (wtorek): Nocna Masa Rowerowa / Ostatnia Prosta czyli wielki, klimatyczny finał akcji! Rajd rowerowy po ulicach miasta. Zbiórka 19.30, start 20.00, parking przy CRS.

Przez cały czerwiec: Tour de ZGora '50 rowerowa gra miejska w aplikacji Aktywne Miasta.

Pamiętajcie! Jeździmy z aplikacją Aktywne Miasta.

oprac. (dsp)

ROWEROWA ZIELONA GÓRA

Uwaga na upały!

Bez dwóch zdań, lato nas rozpieszcza. Może nawet aż za bardzo. Bo kiedy temperatura powietrza pnie się tak ostro w górę, konsekwencje dla naszego zdrowia mogą być poważne. Występuje duże ryzyko udaru cieplnego i przegrzania. Nadchodzący weekend ma przynieść iście tropikalne upały. W Zielonej Górze prognozowana jest temperatura 37-38 stopni Celsjusza! Apelujemy o ostrożność! Jeśli możecie, nie wychodźcie z domu, pijcie dużo wody, schładzajcie siebie i pomieszczenia, w których przebywacie. Na dwór zabierzcie wodę, nakrycie głowy, szukajcie cienia i unikajcie długiego przebywania na słońcu. Przypominamy, że w Zielonej Górze można pić wodę bezpośrednio z kranu i poidełek. Ochłodę dają też rozstawione kurtyny wodne. (dsp)

PREZYDENT MIASTA ZIELONA GÓRA

zgodnie z art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami
(Dz. U. z 2024 r. poz. 1145 z późn. zm.)

INFORMUJE

że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Zielona Góra przy ul. Podgórnej 22 (piętro III i VIII) i przy ul. Generała Jarosława Dąbrowskiego 41 (piętro II) zostały wywieszone wykazy nieruchomości zabudowanych i niezabudowanych oraz lokali stanowiących własność Gminy Zielona Góra o statusie miejskim oraz Skarbu Państwa, przeznaczonych do zbycia, do oddania w użytkowanie wieczyste, użytkowanie, użyczenie, najem lub dzierżawę w drodze przetargu oraz w drodze bezprzetargowej.

Dodatkowe informacje można uzyskać
w Departamencie Rozwoju Miasta Urzędu Miasta Zielona Góra
lub pod nr. telefonów: **(+48) 68 45 64 512**, **(+48) 68 45 64 302**,
(+48) 68 47 55 655 i **(+48) 68 47 55 689**

OD ŚRODY DO ŚRODY

CO SIĘ DZIEJE W MIEJSKIEJ KULTURZE

• środa, 24 czerwca
- wernisaż wystawy malarstwa Jadwigi Sawickiej „Opowiem Wam...", 17.00, WiMBP (filia nr 1 przy ul. Ptasiej 32)
- koncert zespołu Estima „Pogoda na jutro", 19.00, WiMBP
- stand-up: Michał Kutek, 19.00, Cafe Noir

• czwartek, 25 czerwca
- wernisaż wystawy prac Beaty Montowskiej, 18.00, oranżeria w Parku Książęcym Zatonie
- spotkanie autorskie z Andrzejem Zychlą połączone z promocją książki „Przeze mnie umierają gwiazdy", 18.00, WiMBP (Pro Libris Cafe)

• piątek, 26 czerwca
- finisaż wystawy „Wilhelm Blanke (1873 - 1936) - malarstwo", 17.00, Muzeum Ziemi Lubuskiej
- koncert w klimacie rocka w wykonaniu dwóch zespołów: SØL i NoiseTree, 18.00, Cafe Noir
- koncert Jana Kondraka (Cohen, Okudżawa, Stachura), spotkanie poetyckie, wystawa malarstwa Lilianny Lilu Batory „Anioł jaki jest każdy widzi", 18.00, Zajazd Kultury
- czytanie performatywne utworu „Typ B+E: Józefina w oparach Niemytych dusz - Studium psychologiczne nad kompleksem niższości, węzłowiska upośledzenia (...) na podstawie S.I. Witkiewicza" w adaptacji i reżyserii Jolanty Juszkiewicz, 19.00, Muzeum Ziemi Lubuskiej
- spotkanie z Andrzejem Sznejweisem (grafik, malarz, ilustrator, twórca plakatów), 19.00, galeria ZÉRA

• sobota, 27 czerwca
- spacer z przewodnikiem po Barokowym Dworze w Ochli, 13.00, zbiórka przed wejściem do budynku dworu
- spacer z przewodnikiem po Pałacu Bojadła, 15.00, zbiórka na parkingu przed pałacem
- moderowane spotkanie literackie pod hasłem „Czy zielonogórska bohema ma sens?", 15.30, Zajazd Kultury
- pokaz mody: Fashion Show by Elżbieta Tarłowska, 18.00, Park Książęcy Zatonie
- poetycki slam Związku Literatów Polskich oddział Zielona Góra, koncert Piotra Woźniaka, 18.00, Zajazd Kultury
- koncert promenadowy na zakończenie sezonu artystycznego Filharmonii Zielonogórskiej, 19.00, przed filharmonią
- performance Krzysztofa Leona Dziemaszkiewicza „po prostu ja / just me", 19.00, Teatr Chrobrego 14

• niedziela, 28 czerwca
- Lubuskie Słowa - Targi Książki Naszego Regionu, 10.00-17.00, Muzeum Etnograficzne w Ochli (Zagroda Kamienna)
- „Dobre, smaczne, bo lubuskie", 11.00-16.00, Muzeum Etnograficzne w Ochli
- Fabularna Niedziela z Zielonogórskim Klubem Fantastyki Ad Astra (zarówno dla osób stawiających pierwsze kroki w grach fabularnych, jak i doświadczonych graczy), 12.00, Krzywy Komin przy ul. Fabrycznej 13b
- spektakle w wykonaniu nowosolskiego teatru Terminus A Quo, 17.00 - „Cesarzowa Meksyku", 19.00 - „Sysi", Piwnica Teatru 4 Kąty przy ul. Fabrycznej 13a
- czytanie performatywne utworu „Typ B+E: Józefina w oparach Niemytych dusz - Studium psychologiczne nad kompleksem niższości, węzłowiska upośledzenia (...) na podstawie S.I. Witkiewicza" w adaptacji i reżyserii Jolanty Juszkiewicz, 19.00, Muzeum Ziemi Lubuskiej

• poniedziałek, 29 czerwca
- interaktywna wystawa kosmosu dla całej rodziny „Kosmopark", 10.00-20.00, dom handlowy przy ul. Kazimierza Wielkiego 1

• wtorek, 30 czerwca
- Kongres Regionalizmu Polskiego 2026 (wykłady, panele, spotkania z osobami związanymi z kulturą lokalną, historią i dziedzictwem regionu), 10.00-16.00, Muzeum Etnograficzne w Ochli

Zbieramy dla Was to, co naprawdę warto zobaczyć, usłyszeć i przeżyć: od koncertów przez wystawy, spektakle i warsztaty, po powroty ulubionych artystów oraz wiosenne premiery. Wszystko, co pulsuje w miejskiej kulturze i nie powinno Wam umknąć w codziennym biegu. Śledźcie regularnie - podpowiadamy, co szykuje się w najbliższych dniach. Więcej propozycji znajdziecie w kalendarzu wydarzeń na stronie visitzielonagora.pl (ah)

CZAS NA PRZEBUDOWĘ

ŻEGNAMY SIĘ Z AMFITEATREM

Każdy, kto w niedzielę przyszedł do amfiteatru, mógł po raz ostatni przespacerować się po widowni, usiąść na wysłużonej ławce, a nawet zatańczyć na scenie.

Zaczyna się wielka przebudowa, ale zanim to nastąpi, a na ul. Festiwalową wjedzie ciężki sprzęt, odbyło się pożegnanie z jednym z najbardziej kultowych zielonogórskich obiektów. Amfiteatr powstał w 1973 r. w miejscu małego, przedwojennego amfiteatru leśnego. Zbudowano go na potrzeby Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Już wkrótce powróci w nowej formie, z zadaszeniem.

„To ostatnia niedziela" - parafrazą znanej piosenki Mieczysława Fogga, Zielonogórski Ośrodek Kultury zaprosił na pożegnanie z amfiteatrem przed przebudową. Z tej możliwości skorzystało co najmniej kilkuset Zielonogórzan. Było wiele prywatnych rozmów i wspomnień, ale nie tylko. Na wielkim ekranie na scenie wyświetlano archiwalne występy z ostatnich pięciu dekad. Mogliśmy zobaczyć wielkie gwiazdy, jak Czesława Niemena, ale też wielu anonimowych wykonawców, jak choćby podczas przeglądów twórczości dziecięcej. ZOK przygotował pamiątkowe pocztówki w sześciu różnych wersjach. Każdy mógł zabrać je do domu razem z okolicznościowym stemplem. Już za jakiś czas każdy z nas będzie mógł mieć w domu cząstkę amfiteatru. Grubo ponad 100 osób wypełniło formularz i zapisało się na deskę z widowni. Było też sporo zgłoszeń mailowych. Te najlepiej zachowane deski zostaną pocięte na fragmenty długości około 30 centymetrów, a później rozdane Zielonogórzanom. - Skontaktujemy się z każdym, kto się do nas zgłosił - zapewniła Agata Miedzińska, dyrektorka ZOK-u.

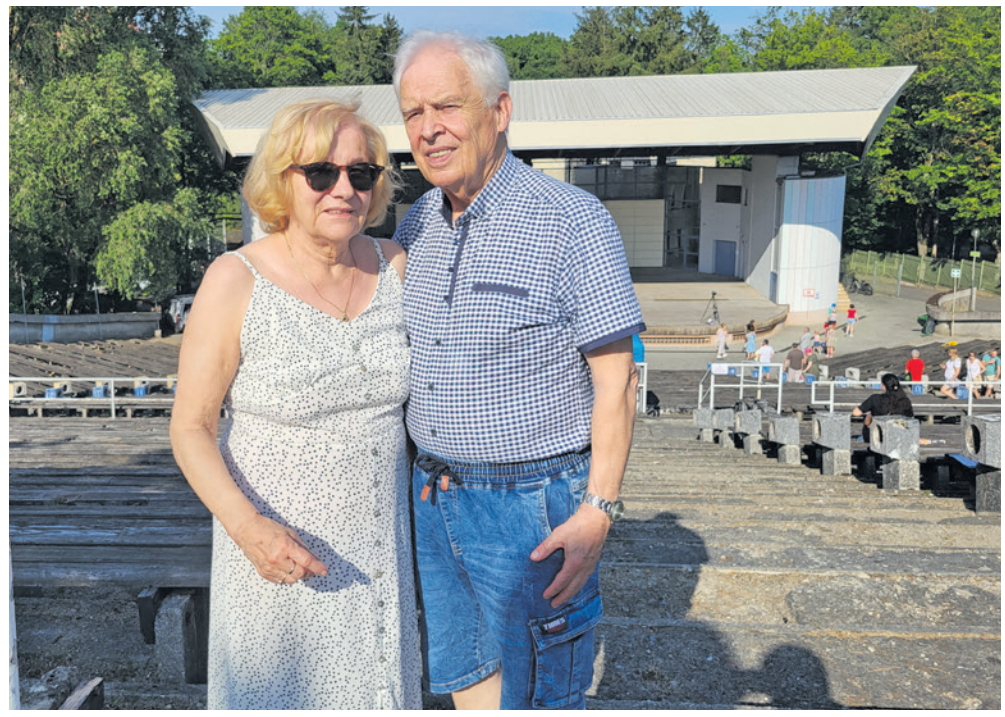

Państwo Wanda i Tadeusz przy Festiwalowej byli wiele razy, trudno im zliczyć wszystkie koncerty. Najbardziej zapamiętali występ Czerwonych Gitar. FOT. SZYMON PŁÓCIENNIK

Filmiki z fotobudki i zabawne hasła

W niedzielę było sporo atrakcji. Popularnością cieszyły się zdjęcia i filmiki ze specjalnej fotobudki 360 stopni. Pozować można było z jedną z wielu tabliczek z zabawnymi hasłami związanymi z amfiteatrem.

Muzeum PRL-u z zielonogórskiego Zatonia wystawiło się z saturatorem. Były też rzemieślnicze lody.

Wiele osób przyszło do amfiteatru z sentymentu, inni z ciekawości. Byli też tacy, którzy odwiedzili to miejsce po raz pierwszy!

Wśród tych ostatnich byli państwo Katarzyna i Jewgienij, którzy mieszkają w Zielonej Górze od trzech i pół roku. Zabrali ze sobą córkę. - Chcieliśmy zobaczyć, jak wygląda amfiteatr. Dowiedzieliśmy się z Internetu, że dzisiaj jest ostatni dzień przed remontem - opowiadał pan Jewgienij.

- Miejsce ładne, ale trochę zaniedbane. Dobrze, że będzie remont. Chcielibyśmy tu przychodzić, jeśli będą ciekawe koncerty. Jeszcze nie znamy wielu polskich artystów, ale jak będzie coś ciekawego, to chętnie przyjdziemy - mówiła pani Katarzyna.

- Miejsce ładne, ale trochę zaniedbane. Dobrze, że będzie remont - mówili Katarzyna i Jewgienij, którzy w niedzielę przyszli do amfiteatru z córką. FOT. SZYMON PŁÓCIENNIK

Zazdrościłam ludziom na balkonie

Zupełnie inna była wizyta trzech Zielonogórzanek, pań Anety, Żanety i Marty. - Przyszłyśmy z sentymentu, ze względu na stare czasy. Często oglądałam występy zza ogrodzenia. Najbardziej zapamiętałam ludzi, którzy stali na balkonach w wieżowcu obok i wszystko słyszeli. Fajnie mieli, zazdrościłam im - śmiała się pani Aneta. Koncert, który szczególnie wspomina? - Edyty Górniak. Byłam jeszcze w średniej szkole, miałam może 17 lat. Kolega mnie wpuścił, pracował w ochronie.

Pani Żaneta lubiła przychodzić na kabarety. Po raz ostatni była na występie Neonówki.

Z kolei pani Marta ostatni raz przyszła na ul. Festiwalową kilka lat temu. Zabrała córkę na przedstawienie teatralne. Był to jeden z kameralnych występów w ramach Lata Muz Wszelakich, kiedy widzowie siedzieli na krzesełkach ustawionych na scenie.

Wszystkie trzy zapisały się na deskę z amfiteatru. - Będą jak fragmenty z Muru Berlińskiego! – żartowała pani Aneta.

Podobają im się plany przebudowy amfiteatru. - W innych miastach są naprawdę fajne amfiteatry, a teraz taki będzie też u nas - tłumaczyły.

Wspomnienia z Czerwonych Gitar

Państwo Wanda i Tadeusz mówili, że chcieli po prostu po raz ostatni zobaczyć amfiteatr. - Po remoncie będzie fajnie - przyznali.

Przy Festiwalowej byli wiele razy, nawet trudno im zliczyć wszystkie koncerty. - Kiedy nie mogliśmy przyjść, oglądaliśmy w telewizji. Festiwale, kabarety, dużo tego było - wspominał pan Tadeusz. Najbardziej zapamiętali koncert Czerwonych Gitar.

Wspomnienia można było zapisać też w księdze pamiątkowej wystawionej przez ZOK.

Szymon Płóciennik

CZAS NA WYWIAD

ODCHODZI NAJSŁYNNIEJSZY ZAKAŹNIK MIASTA

Jacek Smykał przez 30 lat kierował oddziałem zakaźnym w szpitalu wojewódzkim i uniwersyteckim w Zielonej Górze. - Ludzie zaczepiają mnie na ulicy i pytają, czy pamiętam, że ich leczyłem. Większość pamiętam - opowiada.

Jacek Smykał zaczynał leczyć w zielonogórskim Szpitalu Wojewódzkim, kończył w Uniwersyteckim. Wiosną przestał kierować Klinicznym Oddziałem Chorób Zakaźnych. Zastąpiła go Renata Korczak.

Sylwia Sałwacka: - Podobno miłością do medycyny zaraził pana ojciec. Można powiedzieć, że nomen omen złapał pan od niego bakcyla.

Jacek Smykał: - Ojca fascynował świat patogenów, całe życie spędził nad mikroskopem. Przynosił do domu płytki z różnymi wirusami i bakteriami: gronkowcami, paciorkowcami i nam je pokazywał. Ale tylko ja przejawiałem tym zainteresowanie, więc kupił mi mikroskop. Od dziecka wiedziałem, że będę lekarzem.

- Kim był pana ojciec?

- Mikrobiologiem po Uniwersytecie Jagiellońskim. Miał aspiracje naukowe, pracował na UJ, ale doktoratu nie zrobił. Urodziły mu się dzieci, w sumie czworo. Musiał zarobić na dom. Zatrudnił się w sanepidzie i tu badał te wszelkie patogeny. Po pracy robił - jako jedyny w Zielonej Górze - testy Waalera-Rosego, wykorzystywane m. in. w reumatologii.

- Gdzie mieszkaliście?

- Przy ulicy Kołłątaja. Małe mieszkanie zajmowaliśmy razem z dziadkami, rodzicami ojca. O ile niewielka rodzina matki w większości zginęła w czasie II wojny światowej, rodzina ojca mimo wielu tragicznych doświadczeń tę wojnę niemal w komplecie przeżyła.

Ojciec dzieciństwo spędził w Galicji, pod Stanisławowem. W czasie wojny dziadkowie przenieśli się do Krakowa, do krewnych. Tu tato poznał moją mamę, która też studiowała na UJ, tylko że chemię. Po wojnie w poszukiwaniu pracy zamieszkali w Gubinie. Stąd przeprowadzili się z dziadkami do Zielonej Góry.

- To nie był zwykły dom.

- Na pozór tworzyliśmy zwyczajną, mieszczańską rodzinę. W niedzielę rano obowiązkowo była msza, a w południe rosół. Ale za zamkniętymi drzwiami moi galicyjscy dziadkowie - mimo że byli polskimi patriotami - rozmawiali ze sobą austriackim dialektem. A babcia pisała gotykiem. Zostawiła po sobie pisany gotykiem zeszyt z przepisami. Kompletnie nieczytelny dla nas. Szkoda, bo była wybitną kucharką. Jej galicyjska kuchnia stanowiła mieszankę kuchni polskiej, ukraińskiej, austriackiej, węgierskiej i żydowskiej. Smak wyśmienitych kotletów schabowych pamiętam do dziś.

- Nie zamieniłbym Zielonej Góry na żadne inne miasto. Ela odziedziczyła tu stary dom, kompletną ruinę. Remontowaliśmy go latami i teraz każda część jest z innej epoki. Mamy tu ogród, żartobliwie zwany przeze mnie parkiem i psa berneńczyka - mówi Jacek Smykał.

FOT. WŁADYSŁAW CZULAK

- Przez ten dom o mały włos nie został pan lekarzem.

- Na trzecim roku studiów w Szczecinie skrytykowałem na zajęciach ZSRR. Uczelnia uznała, że „wprowadzam niepokój wśród studentów" i mnie relegowała. Z Kościołem nie jest już mi po drodze, ale jako młody chłopak działałem w duszpasterstwie akademickim, wówczas opozycyjnej oazie wolności. W domu słuchaliśmy Radia Wolna Europa. Część rodziny była w AK.

Żeby uciec przed wojskiem, w 1974, dzięki wsparciu rodziny zamieszkałem w zakładzie dla niewidomych w Laskach, u Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża.

- Laski był wtedy ważnym ośrodkiem dla opozycji demokratycznej.

- Obserwowałem tu, jak warszawska inteligencja tworzy legendarny Komitet Obrony Robotników. Na co dzień zajmowałem się malowaniem pokoi, a po godzinach roznosiłem opozycyjną prasę. Raz nawet pojechałem do Watykanu, żeby przewieźć do Czech zakazaną tam Biblię.

- Jak się udało panu wrócić na medycynę?

- Krakowski odłam rodziny poprosił najpierw o pomoc w tej sprawie ówczesnego arcybiskupa Karola Wojtyłę i ten załatwił mi stypendium w Mediolanie. Ale nie dostałem paszportu i nie wyjechałem. Ostatecznie na ratunek przyszła Wanda Wiłkomirska.

- Legenda polskiej wiolinistyki, jedna z najwybitniejszych skrzypaczek XX wieku.

- Przyjaźniła się z moją matką. Pierwszym mężem Wiłkomirskiej był Mieczysław Rakowski, wówczas poseł i redaktor naczelny tygodnika „Polityka". Mimo że należał do partii, to tę partię często krytykował prezentując nurt tzw. liberalnego komunizmu. Tak czy inaczej oboje wstawili się za mną i po trzech latach przerwy, w 1977, dostałem zgodę na warunkowe kontynuowanie medycyny w Białymstoku.

> **Medycyna jest jak kapłaństwo. Albo masz powołanie, albo go nie masz.**

- Wybór specjalizacji był pewnie oczywisty.

- Wróciłem do Zielonej Góry i chciałem zostać pediatrą, ale nie było miejsc specjalizacyjnych. Ktoś podpowiedział mi, żebym poszedł na „zakaźny", do doktora Janusza Kostrzewskiego. Przyjął mnie z otwartymi rękami. Byłem najmłodszy w zespole, oprócz mnie na oddziale byli sami bardzo dojrzali lekarze. Dużo przez to zyskałem, bo oni widzieli np. dur plamisty, czyli tyfus, a ja znałem go tylko z książek.

Ale wcześniej zahaczyłem jeszcze o staż na ginekologii.

- I tu poznał pan żonę?

- Miałem brodę, długie włosy i wyglądałem jak Rumcajs z czeskiej bajki. Pierwszy dzień stażu, idę korytarzem i mija mnie młoda fajna dziewucha. Pytam się jej, czy nie wie, gdzie jest odprawa ginekologów. A ona, że właśnie się tam wybiera, bo pracuje na ginekologii jako fizjoterapeutka. Odprawa się zaczyna, dziewczyna bezpardonowo przerywa spotkanie i zaczyna bronić gniazd jaskółek. Lepiły sobie gniazda z błota wymieszanego ze śliną na ścianach, w wejściach, pod oknami. A pracownicy szpitala je strącali.

- Jaskółki ocalały?

- Tak, gniazda do dziś można spotkać w szpitalu. Pomyślałem „Co za włoski temperament!". I się nie pomyliłem. Ela (Elżbieta Smykał, radna, działaczka społeczna - przyp. red) ma rzeczywiście włoskie korzenie. Jej matka z domu była Castelli. Po pięciu miesiącach byliśmy już małżeństwem.

- A jakie cechy powinien mieć dobry lekarz?

- Miłość do ludzi, pokorę. Medycyna jest jak kapłaństwo. Albo masz powołanie, albo go nie masz. Nie nauczysz się właściwego podejścia do pacjenta, zrozumienia, musisz mieć to we krwi.

Kiedy zaczynałem pracę, lekarze zarabiali grosze. Byliśmy ideowcami. Żeby samodzielnie podejmować decyzję na oddziale, musiałem zrobić I oraz II stopień specjalizacji. W sumie 12 lat nauki. Dziś wystarczy sześć.

- Prawie 30 lat kierował pan zielonogórskim oddziałem zakaźnym. Gdyby pan mógł cofnąć czas, zmieniłby pan wybór i został np. kardiochirurgiem?

- Nie, i paradoksalnie spełniło się moje marzenie o pediatrii, bo na oddziale leczyłem też dzieci. Zakaźnictwo nie jest jednak wdzięczną specjalizacją. W Polsce jest nas garstka. Popularni na moment staliśmy się tylko w czasie pandemii COVID-19.

- Było wtedy o panu bardzo głośno. Zdiagnozował pan „pacjenta zero", czyli pierwszy w kraju oficjalny przypadek zakażenia koronawirusem.

- Nie było leków, schematów terapii, sprzętu. Działaliśmy po omacku. Przełomem w mojej karierze było też pojawienie się HIV i AIDS. Pojechałem do berlińskiej Charité, największej kliniki uniwersyteckiej w Europie, zobaczyć, jak leczyć takich chorych, ponieważ my do izolatek wchodziliśmy w kombinezonach i goglach.

- Bał się pan?

- Bałem, ale nigdy w szpitalu się niczym nie zakaziłem. Nawet gruźlicą. A mieliśmy kiedyś bardzo dużo pacjentów. Oddział liczył 70 łóżek, dziś ponad 20.

- Lubi pan Zieloną Górę?

- Nie zamieniłbym Zielonej Góry na żadne inne miasto. Ela odziedziczyła tu stary dom, kompletną ruinę. Remontowaliśmy go latami i teraz każda część jest z innej epoki. Mamy tu ogród, żartobliwie zwany przeze mnie parkiem i psa berneńczyka. No i najważniejsze: mamy dwóch synów, dwie synowe, cztery wnuczki i jednego wnuczka, oraz sporo, sporo przyjaciół.

- Żaden z synów nie poszedł w pana ślady?

- Synowie do dziś wypominają mi, że w domu byłem gościem, bo musiałem dorabiać w przychodni, w pogotowiu, żeby związać koniec z końcem. Wybrali własne drogi, zajmują się turystyką. Dzięki nim zwiedzamy dziś z żoną świat.

CZAS NA FILM

NAJPIERW CZARNOBYL, POTEM LOS ANGELES

Od lat jeżdżą do Czarnobyla z kamerą, by dokumentować losy ludzi żyjących na marginesie świata. Dziś ich filmy trafiają na międzynarodowe festiwale, platformy streamingowe i zdobywają nagrody za oceanem. Zielonogórska grupa Green Mountain Pictures udowadnia, że kino niezależne można tworzyć daleko od Warszawy czy Łodzi. Choć nie zawsze jest to łatwa droga.

Zielona Góra nie kojarzy się z przemysłem filmowym. A jednak właśnie stąd pochodzi Green Mountain Pictures - wytwórnia, której filmy ogląda się w Japonii, Niemczech i na Amazon Prime Video. Z grupą mocno związany jest reżyser Amadeusz Kocan oraz odpowiadający za efekty komputerowe i stronę techniczną Bartosz Wabno.

Żaden z nich nie kończył szkoły filmowej. Warsztatu uczyli się metodą prób i błędów, zaczynając od amatorskich produkcji, które realizowali jeszcze jako nastolatkowie. Dziś bywają na międzynarodowych festiwalach, ale początki były dalekie od czerwonych dywanów.

Reżyser Amadeusz Kocan oraz odpowiadający za efekty komputerowe i stronę techniczną Bartosz Wabno FOT. BARTOSZ MIROSŁAWSKI

Powiedziano, że wyjadą na trzy dni

Na ich filmowej drodze największe piętno odcisnął Czarnobyl. Do elektrowni pojechali po raz pierwszy w 2016 roku. Kocan szukał plenerów do swojego pierwszego pełnometrażowego filmu. Przy okazji poznał Krystiana Machnika z Napromieniowani.pl, organizatora akcji humanitarnej dla dawnych mieszkańców strefy zamkniętej. Jedno spotkanie pociągnęło za sobą kolejne.

W strefie nie mieszkają tylko duchy przeszłości. Mieszkają tam prawdziwi ludzie - tzw. samosioły, którzy po katastrofie w 1986 roku zostali wysiedleni, dostali byle jakie mieszkania w miastach i... wrócili. - Bo zabrano im ziemię, gospodarstwa i domy, a w zamian często oferowano niewielkie mieszkania lub pojedyncze pokoje - wyjaśnia Wabno.

- Powiedziano im, że wyjadą na trzy dni. Okazało się, że na zawsze - mówi Kocan. - Wracali do swoich domów, które były już rozgrabione przez szabrowników. Potem znowu ich wyrzucano. I znowu wracali. I są tam do dzisiaj.

Jedna ze spotkanych przez Zielonogórzan babuszek ma ponad 100 lat. Mieszka w wiosce, w której żyje siedem osób. Sklep obwoźny przyjeżdża raz w miesiącu. Wabno i Kocan mówią na tę wieś „stolica", bo jest najbardziej zaludnionym miejscem w okolicy.

- Jak się dowiedziała, że przyjeżdżamy, wygadała się sąsiadce. Na drugi dzień minus dwadzieścia cztery stopnie, śnieg po kolana i cała wioska odśnieżona. Kilka kilometrów drogi. Żebyśmy bezpiecznie dojechali- opowiada Kocan.

Pytam, jak jednym słowem opisać tych ludzi. - Są po prostu niebywale wytrwali - bez wahania wskazuje Wabno.

Kocan dodaje, że te wyjazdy zmieniły jego spojrzenie na życie: - Człowiek przestaje się przejmować pierdołami. W głowie cały czas jest z tyłu: co ja gadam, co z tego, że coś nie wyszło.

Być może w tym należy szukać odpowiedzi, dlaczego nakręcona przez zielonogórzan postapokaliptyczna „Droga donikąd" rozgrywa się w świecie, w którym wydarzenia związane z Czarnobylem doprowadziły do katastrofalnej wojny między Rosją a Chinami. To nie tylko gatunkowa zabawa.

- Widzimy po tych ludziach, że nic nie mają, a zastawiają stół wszystkim, co posiadają. I to, jak cenne jest dla nich spotkanie z drugim człowiekiem - mówi reżyser.

- Patrząc na ich życie człowiek sam docenia, ile posiada - dodaje Wabno.

Zaangażowanie filmowców w działalność humanitarną trwa do dziś. Dwa miesiące temu Kocan wrócił z kolejnego wyjazdu - tym razem już z materiałem dokumentalnym z czasu wojny. Na terenach strefy zamkniętej stoją dziś wojska, a babcie, które przeżyły drugą wojnę światową i wybuch reaktora mówią, że to dla nich trzeci koniec świata.

Postapokaliptyczna „Droga donikąd" rozgrywa się w świecie, w którym wydarzenia związane z Czarnobylem doprowadziły do katastrofalnej wojny między Rosją a Chinami FOT. GREEN MOUNTAIN PICTURES

Co się liczy w filmie

Green Mountain Pictures to dziś kilkuosobowy rdzeń - operator, dźwiękowiec, kostiumograf, kompozytor, specjalista od pirotechniki. Przy większych projektach dochodzą osoby z zewnątrz. Kocan odpowiada przede wszystkim za stronę reżyserską i rozwój projektów, Wabno za efekty komputerowe i kwestie techniczne.

Wabno wszystkiego uczył się sam - od amatorskich filmów, przez pracę przy fanowskim filmie wiedźmińskim „Pół Wieku Poezji Później", aż po współpracę z twórcami związanymi z warszawską szkołą filmową. Od kilku lat regularnie tworzy również animacje i materiały dla kabaretów Polsatu. Obaj się zgadzają, że filmowiec powinien zaczynać od dokumentu.

- Musisz ogarniać wszystko sam. Nagrać dźwięk, obraz, wyreżyserować. Być trochę niewidzialnym. Poznać człowieka, poczekać aż się otworzy i wybrać ten moment, kiedy wiesz, że powiedział prawdę, a nie coś pod kamerę - tłumaczy Kocan.

O problemach współczesnego kina mówią bez ogródek. Ich zdaniem wielkie studia wolą inwestować we franczyzy niż w oryginalne pomysły, bo to bezpieczniejsze finansowo.

- Wytwórnie nie chcą już ryzykować. Przy dużych produkcjach, zwłaszcza na Zachodzie, po prostu w tabelkach się musi wszystko zgadzać - tłumaczy Wabno. W Polsce bywa podobnie, dlatego ekipa Green Mountain przez lata finansowała swoje projekty z własnej kieszeni.

- Kiedy pojawia się ktoś z pieniędzmi, często chce zrobić swój film, a nie film artysty, który ma własny pomysł. Nie ma kultury zaufania do twórcy. A tylko wtedy można stworzyć coś naprawdę nowego - dodaje Kocan.

Nagrody, festiwale, Japonia

Mimo skromnych budżetów filmy Green Mountain Pictures trafiają na duże ekrany. „Droga donikąd" była pokazywana podczas Festiwalu Filmów Polskich w Los Angeles - największego przeglądu polskiego kina poza granicami kraju, gdzie swoje produkcje prezentowali wcześniej m.in. Wojciech Smarzowski czy Paweł Pawlikowski. Zielonogórzanie wrócili stamtąd z główną nagrodą w kategorii filmów niezależnych.

Byli również na festiwalu Snowdance w niemieckim Essen. - Samo dostanie się do selekcji jest ogromnym sukcesem. A potem nagle okazuje się, że ktoś kupuje bilet na twój film w niemieckim kinie. To nadal robi wrażenie - przyznają.

Wcześniejszy dokument „Czarnobyl: Ludzie ze stali" zdobył uznanie publiczności podczas Warszawskiego Festiwalu Filmowego. Z kolei „Ostatni samotnik" - choć sami twórcy oceniają go dziś znacznie surowiej niż późniejsze produkcje - trafił do japońskiej dystrybucji, otrzymał pełny dubbing i był emitowany w tamtejszych telewizjach oraz serwisach streamingowych.

Wszystkie najważniejsze produkcje Green Mountain Pictures można oglądać na Amazon Prime Video. „Droga donikąd" pojawiła się nawet w ścisłej czołówce najpopularniejszych filmów na polskim Amazonie, rywalizując z produkcjami dysponującymi wielokrotnie większymi budżetami.

Sukcesy za granicą kontrastują boleśnie z tym, co dzieje się na lokalnym podwórku. W Polsce o Green Mountain Pictures pisały ogólnopolskie media, zapraszały ich telewizje, a na festiwalach w Los Angeles czy Warszawie dostawali nagrody. W regionie lubuskim przez lata byli praktycznie niewidzialni. Ich filmy nie zostały zakwalifikowane na Lubuskie Lato Filmowe ani na Solanin Film Festiwal. Od organizatorów jednej z imprez dostali informację, że mają do wyboru filmy lepszej jakości. - Nasze wrażenie było takie, że im dalej od Zielonej Góry, tym bardziej się nami interesowali - mówią z nutą rezygnacji nasi rozmówcy.

Co dalej

W planach są dwa projekty. Pierwszy to dokument z Ukrainy czasu wojny - nakręcony podczas kilku wyjazdów do strefy czarnobylskiej po rosyjskiej inwazji. Materiału jest ponad 200 godzin. Muzykę tworzy zielonogórski kompozytor Zbigniew Tyc. Teraz trwa poszukiwanie finansowania, które pozwoli zamienić ogrom zgromadzonych nagrań w pełnometrażowy film.

Drugi projekt to coś zupełnie nowego - gangsterska fabuła osadzona w Zielonej Górze i szerzej w Lubuskiem.

Twórcy myślą o klimacie lat 90., choć nie wykluczają również bardziej umownego czasu akcji. Najważniejsza ma być atmosfera miejsca i bohaterowie. Nie będzie pompatycznych mafijnych rodzin rodem z „Ojca chrzestnego". Twórcy myślą raczej o surowym, kameralnym kinie bliższym „Pulp Fiction", skupionym na postaciach i lokalnej historii.

- Chcemy, żeby kamera podążała za bohaterami. Film ma być surowy, niemal dokumentalny w formie - mówi Wabno.

Po Czarnobylu, wojnie i postapokalipsie przyszła pora na Zieloną Górę. Można sobie wyobrazić gorszy plan filmowy.

(md)

Tak wyglądały letnie dni na kąpielisku leśnym przy ul. Botanicznej

FOT. CZESŁAW ŁUNIEWICZ/ ZBIORY ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO W ZIELONEJ GÓRZE

CZAS NA HISTORIĘ

PRYSZNIC NIE ZASTĄPI KĄPIELISKA W OCHLI

W takie upały, jakie mamy teraz w Zielonej Górze, każdy myśli o ochłodzie. I dziś, i dawniej mieszkańcy wybierali „Ochlę", czyli kąpielisko przy ul. Botanicznej. Dziennikarze pisali, że nawet prysznic nie zastąpi kąpieli w chłodnej wodzie!

Za oknem skwar, na termometrach ponad 30 stopni, a za chwilę zaczną się wakacje. Kto tylko może, szuka wytchnienia od prażącego słońca. A co może być lepszego w taką pogodę niż wskoczenie do zimnej wody? Na kąpielisku H2Ochla przy ul. Botanicznej bawią się tłumy, a przecież podobnie było tutaj już dawniej.

Przeglądam archiwalne numery „Gazety Zielonogórskiej" i „Lubuskiej", by poczytać, jak radzono sobie z upałami w PRL-u. Swoją drogą, wszystkich zachęcam do takiego wędrowania w przeszłość. Dziś nie trzeba już odwiedzać Biblioteki Norwida, by wertować pożółkłe roczniki gazet. Wystarczy zajrzeć do Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej i w zaciszu domu przeglądać numer po numerze, można szukać według interesujących nas haseł.

W oczy rzuca mi się artykuł z 24 lipca 1987 r. „Gazeta Lubuska" i chwytliwy tytuł: „Prysznic nie zastąpi kąpieliska". Dziennikarz opisuje zalety „Ochli" w gorące wakacje, choć narzeka, że trudno tam o wolne miejsce. Wszędzie tłumy!

„Gazeta Lubuska" pisała, że w upalne dni na kąpielisku bawiło się ok. 4 tysięcy osób, nie licząc grup zorganizowanych. W niedzielę amatorów wypoczynku nad wodą przybywało.

FOT. CZESŁAW ŁUNIEWICZ/ ZBIORY ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO W ZIELONEJ GÓRZE

Kłopoty z zimnymi napojami

„W upalne dni - nie licząc kolonii i półkolonii - było tu dziennie do 4 tysięcy osób. Ponadto - od 8 do 10 grup zorganizowanych. A w niedziele spragnionych kąpieli jest zwykle znacznie, znacznie więcej. Co dzień kąpielisko czynne jest w godzinach 10-19, a w dni wolne od pracy do godziny 20. Obszar wokół basenu został zradiofonizowany, można więc opalać się i kąpać przy muzyce. W pierwszych dniach lata były tu kłopoty z zimnymi napojami. „Społem" jakby się nieco zagapiło, ale dziś jest już obietnica prezesa spółdzielni, że orzeźwiających płynów nie zabraknie na kąpielisku. Atmosferę najprawdziwszej plaży wprowadza tutaj również prywatna inicjatywa, której przedstawiciele sprzedają to watę na patyku, to słonecznik. (...)

W tym roku na terenie rekreacyjnym Ochli można rozbijać namioty, a nawet instalować, w porozumieniu z gospodarzem, światło. Bilety na kąpielisko nie są drogie - 10 i 20 złotych, a grupy zorganizowane wypoczywają tu bezpłatnie" - czytamy.

Wszyscy ciągną do kąpieliska leśnego

Przenieśmy się 15 lat wcześniej, do numeru z 13 czerwca 1972 r. To „Gazeta Zielonogórska".

„Coraz więcej, szczególnie w ciepłe dni, jest chętnych do zażywania kąpieli. Wszyscy „ciągną" więc do kąpieliska leśnego przy ul. Botanicznej. Przypominamy, że kąpielisko czynne jest codziennie od godziny 7 do 19, a nad bezpieczeństwem kąpiących sie czuwają czterej ratownicy" - opisuje autor.

Krótki tekst dzieli się na dwie części. Oprócz opisu samego kąpieliska jest też informacja o tym, że wkrótce miejsca do pluskania się w wodzie i odpoczynku będzie więcej. Pod warunkiem, że dopisze czyn społeczny, czyli Zielonogórzanie.

„Kąpielisko powstało i rozbudowuje się w czynie społecznym. Trzeba o tym pamiętać i szczególnie szanować urządzenia. Do zakładów pracy, przedsiębiorstw i instytucji kierujemy jeszcze raz apel, aby pomogły władzom miejskim i Komitetowi Społecznemu Zagospodarowania Parku Piastowskiego w zagospodarowaniu kąpieliska wchodzącego w skład parku. Wszystko to przecież, co tam się robi i będzie robić, służy wszystkim mieszkańcom, a więc i pracownikom zakładów. Bez parku i kąpieliska nie mieliby gdzie odpocząć i nabrać sił do pracy. Każda pomoc się liczy - w sprzęcie, funduszach, pracy społecznej" - możemy przeczytać.

Kąpielisko w Ochli zostało otwarte w 1964 r., a później przebudowano je w 1969 r. Były też późniejsze zmiany. H2Ochla została z kolei udostępniona dwa lata temu.

Szymon Płóciennik

Święto Sali Szeptów

Powitajmy lato w Sali Szeptów! Fundacja Tłocznia zaprasza na Święto Sali Szeptów, czyli miejskiej piwnicy winiarskiej przy ul. Sowińskiego 3. Wydarzenie odbędzie się dzięki zwycięstwu w Zielonogórskim Budżecie Obywatelskim. Wstęp wolny.

Sala Szeptów będzie otwarta w piątek, 26 czerwca w godz. 17.00-23.00 i w sobotę, 27 czerwca w godz. 12.00-21.30. Odbędzie się tam szereg bezpłatnych wydarzeń kulturalnych. Na miejscu będzie można kupić lubuskie wino. W programie:

• piątek, 26 czerwca

- 19.30 - koncert Katarzyny Wasiak (pianino) i Błażeja Wasiaka (klarnet) pt. „Od Alfamy do Wisły. Klasyka polskiego i niemieckiego filmu",
- 21.30 - pokaz filmu - NIESPODZIANKA.

• sobota, 27 czerwca

- 12.30 - spacer winiarski po Zielonej Górze śladem Eduarda Seidela, budowniczego Sali Szeptów,
- 18.30 - koncert gitarowy Stanisława Jordanowa. Muzyka klasyczna i flamenco,
- 20.00 - koncert: Aga & Olga - slow folk,
- 21.30 - wieczorny spacer z lampami naftowymi śladem zielonogórskich procesów o czary.

KOSZYKÓWKA

ALFABET (NIE)SPODZIEWANEGO SUKCESU

Architekt

Albo po prostu Arkadiusz Miłoszewski, trener Zastalu, który trzyletni plan o stopniowym powrocie na salony zrealizował w jeden sezon! Wrócił do Zielonej Góry ze Szczecina, wziął stamtąd swojego boiskowego przywódcę, Andrzeja Mazurczaka i razem znów zagrali w finale. W duecie skuteczność mają kosmiczną. Dwa finały z Kingiem (złoto i srebro), jeden z Zastalem. Kibice skandowali jego imię i nazwisko po szóstym meczu finałowym, a trenerowi zaszkliły się oczy.

Bemowo

Najsłabszy element finałowej serii. Hala, w której gra Legia nie przystaje do standardów nie tylko spotkań finałowych, ale w ogóle zmagań w Orlen Basket Lidze. Warszawa ponownie pokochała koszykówkę. Pozycję w ekstraklasie umocniła Legia, która obroniła tytuł, w siłę rosną też Dziki, zdobywając historyczny brąz. Jedni i drudzy mogą być dumni z organizacji i rozwoju sportowego, ale nie z obiektów. Nas rozpiera duma, bo na CRS można patrzeć z podziwem.

Ciężary

Tej pięknej historii i tego alfabetu nie byłoby, gdyby Zastalowi powinęła się noga w którymś z dwóch wcześniejszych sezonów. Zielonogórzanie momentami dramatycznie musieli walczyć o pozostanie w gronie najlepszych. Zarówno na gruncie sportowym, jak i organizacyjnym. Boje z Sokołem Łańcut dwa lata temu i starcie np. w Dąbrowie Górniczej z MKS-em przed rokiem, to także podwaliny pod ten sukces. Powrót na trybuny zaczął się nie z chwilą seryjnych zwycięstw, ale właśnie wtedy, gdy w oczy zajrzało widmo degradacji.

Drudzy

Drudzy w lutowym Pucharze Polski w Sosnowcu. Drudzy w finale całych rozgrywek. Zastalowcy upodobali sobie drugie miejsca. I choć był smutek po przegranej w lutym z Energą Treflem Sopot, a także po porażce w siódmym meczu z Legią, to już po chwili pojawiły się uśmiechy. Zielonogórzanie pokazali niesamowitą siłę najpierw w turnieju pucharowym, odprawiając kolejno Kinga i Śląska, następnie w fazie play-off, gdzie znów pokonali Szczecinian, a potem Arkę Gdynia.

Wicemistrzowie Polski 2025/2026 podczas ceremonii wręczenia medali

FOT. ANDRZEJ ROMAŃSKI / ORLEN BASKET LIGA

Euforia

Takiej euforii, jaka zapanowała w hali CRS w piątek, po zwycięskim rzucie Conleya Garrisona na wagę wyrównania w serii na 3-3, nie było być może nigdy. Po kosmicznej „trójce" Garrisona kibice dosłownie oszaleli ze szczęścia. Dorośli mężczyźni płakali, a potem wspólnie z koszykarzami śpiewali przez kilkanaście minut: „Jesteśmy tu, by wspierać Was!" Ciarki na samo wspomnienie...

Frekwencja

To jedno z największych zwycięstw tego sezonu. Mówił to z dumą trener Zastalu, który marzył o zapełnieniu hali CRS. Jego podopieczni grali tak, że w play-offach komplety były oczywistością, a bilety na finałowe mecze rozchodziły się w ekspresowym tempie.

Garrison

Rzut Conleya Garrisona w meczu numer sześć przejdzie do historii zielonogórskiej koszykówki. Zastal miał 1,7 sek. na to, by schować Legionistom wystające już korki od szampanów. Mina Amerykanina po trafieniu za trzy punkty to jeden z tych obrazków, który po latach będziemy przywoływać na myśl o tegorocznych finałach z Legią.

Historia

To dziewiąty medal, który wpada do klubowej gabloty, trzeci srebrny. 12 lat temu Zielonogórzanie musieli uznać wyższość Turowa Zgorzelec. Pięć lat temu w „bańce" przegrali ze Stalą Ostrów. Tamte serie skończyły się jednak w sześciu spotkaniach. I po obu był znacznie większy niedosyt niż teraz.

Intensywność

To był niesamowicie długi sezon. Pierwsze ligowe spotkanie Zastalu - przegrane po dogrywce we własnej hali z Górnikiem Wałbrzych - od ostatniego, siódmego finałowego spotkania z Legią dzieliło dokładnie 261 dni. W tym czasie Zielonogórzanie rozegrali 48 spotkań, licząc także mecze w rozgrywkach Pucharu Polski.

Jubileusz

W tym roku zielonogórska koszykówka obchodzi 80-lecie istnienia. Przed sezonem marzyły się nam play-offy. Taki też cel postawiono przed zespołem. Gdyby ktoś przed startem rozgrywek powiedział, że na dębowy jubileusz drużyna będzie twardsza niż ten gatunek drzewa i skończy z wicemistrzostwem, byłby raczej uznany za niepoprawnego optymistę. Albo szaleńca.

Kapitan

Kapitan, generał, dyrygent. Andy Mazurczak. „Kto wygrał serię?" - po ćwierćfinałach z Kingiem wykrzyczał do kibiców z taką pasją, jakby cały rok czekał na rywalizację ze swoim byłym klubem. Zapowiedział po finałach z Legią, że chce więcej, bo Zielona Góra na to zasługuje. Wracał tu po poważnej kontuzji. Nie brakowało głosów wątpiących. Dziś chyba nikt nie wyobraża sobie drużyny bez Andrzeja z Chicago.

Legia

Triumfator sezonu zasadniczego, finałowy rywal Zastalu, zbudowany za znacznie większe pieniądze i z wyraźnym celem, bo obroną tytułu. Silna organizacja, w dodatku z chęcią zaistnienia w Europie. W tym sezonie tego ostatniego nie udało się zrealizować. Może uda się w kolejnym.

Młodość

Niby wszyscy wiedzieli, że Jakub Szumert to zawodnik z olbrzymimi możliwościami, ale chyba nikt nie spodziewał się aż takiej eksplozji. Wspaniale, że z Polski wyjedzie z medalem i pięknymi wspomnieniami z Zielonej Góry. Pozostaje mocno trzymać kciuki i obserwować jego dalszy rozwój. A to, jak szybko adaptował się do seniorskiej drużyny i wykorzystywał pojedyncze szanse Miłosz Majewski dowodzi, że trener Miłoszewski wie, jak rozwijać talenty w Zielonej Górze. Czekamy na kolejne!

Niezniszczalni

- My tu jeszcze wrócimy - odgrażał się Krzysztof Sulima po przegranym starciu numer pięć w Warszawie. Pewnie ten mecz z Legią będzie wspominany jako stracona szansa na złoto. Zastal prowadził prawie pół godziny, by przegrać, ale „Żubr" dotrzymał słowa. Zielonogórzanie wrócili do Warszawy, a doświadczony koszykarz, tak jak był najbardziej wściekły po piątym meczu, tak był chyba najsmutniejszy po siódmym. Bo mimo 36 lat na karku ma srebrne „krążki", ale na złoto wciąż czeka i obiecuje, że nie spocznie, póki go nie zdobędzie.

Oczekiwanie

Graj Zastalu jak za dawnych lat - to była jedna z ulubionych przyśpiewek zielonogórskich kibiców i koszykarzy w tym sezonie. Po ostatnim meczu sezonu została zmodyfikowana na „gra Zastalu, jak za dawnych lat".

Prezeska

Katarzyna Marciniak pamięta doskonale całą nowożytną erę koszykówki spod znaku CRS. Jeśli kiedyś zdecyduje się na spisanie wspomnień, może to być koszykarski bestseller. Wbiegła boso na parkiet po rzucie Garrisona. Przez cały sezon powtarzała jak mantrę: naszym największym zwycięstwem i największą siłą są kibice i cała koszykarska społeczność.

Rozwój

Sukces wymusza rozwój i każe stawiać kolejne kroki naprzód. I to powinny być europejskie puchary w Zielonej Górze. Za konfrontacjami z zagranicznymi firmami kibice też zdążyli się stęsknić. I choć w pewnym momencie rywalizacja w rozgrywkach trzeciego, czy czwartego sortu nie porywała, to teraz o frekwencję można być chyba spokojnym.

Seria

Zastal nigdy nie musiał grać siódmego meczu finałów o mistrzostwo Polski. Aż do 21 czerwca. To najdłuższe finały w historii zielonogórskiej koszykówki. Eksperci w stolicy wieszczyli szybką rozgrywkę, która trwała... prawie dwa tygodnie.

Tożsamość

Głód sukcesu, pierwszy po pięcioletniej przerwie medal i drużyna, która niemal po każdym meczu długo i cierpliwie rozdawała autografy, pozowała do zdjęć, czy tak jak Chavaughn Lewis, czasami po prostu oddawała swoje buty. I tak silnie infekowała koszykówką, że play-offy na trybunach hali CRS śledził z dużym prawdopodobieństwem jakiś przyszły koszykarz lub koszykarka.

Uniwersytet

Współpraca z uczelnią w tym roku została sformalizowana i dopiero się zaczyna, ale jeśli ma to być kolejny krok w kierunku rozwoju nie tylko pierwszej drużyny Zastalu, ale całej zielonogórskiej koszykówki, jesteśmy na tak!

Właściciele

Państwo Katarzyna i Waldemar Kaczmarkowie to przeciwieństwo poprzednika. Nie ma ich w mediach, dotąd chyba nie udzielili żadnego oficjalnego wywiadu. Przejęli klub będący nad przepaścią. Działają w ciszy i spokoju. Sportowe efekty pewnie nawet dla nich są zaskakujące.

Zastal Express

To jeden ze stałych elementów zakończonego sezonu. Dziś już nikt nie wyobraża sobie wstępu do meczu w hali CRS bez pociągu, konduktora i kultowej piosenki Ryszarda Rynkowskiego. Kto by jednak pomyślał, że ten wers „byle nie do Warszawy" skończy się finałami z Legią Warszawa?!

Marcin Krzywicki